

prof. dr hab. JAN WOLEŃSKI

Członek PAU

UCZELNIE JAKO WSPÓLNOTA NAUCZAJĄCYCH I UCZĄCYCH SIĘ

Uniwersytety są paradygmatem wyższej uczelni – termin „uniwersytet” jest nie tylko opisowy, ale także nobilitujący. Sama nazwa pochodzi od *universitas*, łacińskiego słowa, które może być oddane przez takie rzeczowniki jak „całość”, „zbiorowość” lub „społeczność”. Zwłaszcza to ostatnie jest często używane w życiu akademickim, np. powiada, że nasza (tj. konkretnie określona w danym wypadku) społeczność akademicka wyraża uznanie tej a tej osobie. Bycie społecznością implikuje bycie wspólnotą, w przypadku uniwersytetów tych, którzy uczą i tych, którzy są nauczani. Skoro są wspólnotą, łączą ich określone więzi międzyludzkie. Uniwersytety powstały w średniowieczu i rzadko podkreśla się fakt, że było to niebywałe osiągnięcie cywilizacyjne. Szkoły „wyższe” były znane w starożytności, np. Akademia Platona czy Liceum Arystotelesa, ale niewiele wiadomo o tym, jak były zorganizowane i jakie były w nich stosunki. Różne, także konfliktowe, np. wiadomo, że Arystoteles obraził się, że nie został przełożonym Akademii po Platonie, odszedł i założył własną uczelnię. Dom Mądrości w Bagdadzie, założony w 830 r., był najważniejszą akademią arabską. Niemniej jednak uniwersytety średniowieczne okazały się trwałymi uczelniami. Pierwsze powstały w XI w. na bazie szkół przykatedralnych, a w XIV w. stały się popularne. W samej rzeczy, typową ambicją władcy, np. Kazimierza Wielkiego w Polsce, było to, aby jego państwo posiadało przynajmniej jeden uniwersytet. W zasadzie wyróżnia się trzy typy uniwersytetu średniowiecznego: boloński (koncentracja na prawie), paryski (koncentracja na teologii pod kuratelą miejscowego

biskupa) i neapolitański (państwowy, skoncentrowany na kształceniu urzędników). W praktyce, istniejące uczelnie były mieszaniną tych trzech typów.

Uniwersytet średniowieczny był wspólnotą (*universitas magistrorum et scholarium*, to określenie powstało w XII w.). Studenci i profesorowie razem mieszkali (nie zawsze, ale często), razem spożywali posiłki. Brak podręczników w naszym rozumieniu powodował, że uczestnictwo w zajęciach i dysputach było w zasadzie jedynym sposobem intelektualnego uczestnictwa w procesie kształcenia, zarówno po stronie magistrów (profesorów) jak i studentów. Uniwersytet składał się z czterech wydziałów: teologicznego, prawa, medycznego i sztuk wyzwolonych. Ten ostatni obejmował tzw. siedem sztuk wyzwolonych, mianowicie *trivium* (gramatyka, retoryka i logika) oraz *quadrivium* (arytmetyka, geometria, astronomia i muzyka). Ta struktura była załączkiem podziału na humanistykę (*trivium*) i nauki przyrodnicze (*quadrivium*), a sam wydział, zwany po łacinie *artes liberales*, stanowił pierwowzór wydziału filozoficznego, obejmującego wszystko poza teologią, prawem i medycyną. Studenci nie byli sztywnie przypisani do wydziałów – każdy mógł studiować, co chciał, z tym, że studia teologiczne (teologia jako *scientia divina*) musiały być poprzedzone ukończeniem innego wydziału, z reguły sztuk wyzwolonych.

Ważnym przejawem wspólnotowości uniwersytetu było to, że profesorowie medycyny bezpłatnie świadczyli pomoc lekarską na rzecz swoich kolegów oraz studentów. Zwyczaj ten przetrwał w takiej lub innej postaci do czasów współczesnych, np. niektórzy profesorowie Akademii Medycznej w Krakowie leczyli za darmo studentów jeszcze w latach 60. XX wieku. Niektóre uniwersytety, np. brytyjskie, do dzisiaj celebrują wspólne posiłki, ale jest to raczej tradycyjny rytuał, a nie element realnej wspólnotowości. Większe znaczenie ma *tutorial*, czyli opieka na studentami, instytucja także sięgająca początków istnienia uniwersytetów. Wprawdzie starały się one promieniować na otoczenie, np. uniwersytet krakowski sprawował patronat nad szkolnictwem średnim w Krakowie czy dawny zwyczaj niemiecki, że habilitacja była ogłaszana publicznie i była wydarzeniem lokalnym. Niemniej jednak, głównym celem było rozwijanie tego, co działo się wewnątrz danej uczelni. Poczucie przynależności do danej wspólnoty akademickiej było niekiedy wzmacniane różnymi rywalizacjami, np. starym sporem o to, czy wcześniejszy był uniwersytet w Bolonii czy Padwie. Rywalizacja pomiędzy Oxfordem i Cambridge stała się niejako przysłowiowa, a od 1829 r. jest symbolizowana przez regaty wioślarskie na Tamizie. Uniwersytety amerykańskie mają własne drużyny koszykarskie, futbolu amerykańskiego czy hokejowe. Te fakty wzmacniały (i nadal

tak jest) poczucie wspólnoty, ale powoli ich rola stawała się coraz bardziej re-sentymentalna i symboliczna niż rzeczywista.

Były też bardziej istotne fakty działające przeciwko statusowi uniwersytetu jako wspólnoty *magistorum et scholarium*. Negatywny stosunek Odrodzenia do Średniowiecza także dotyczył uniwersytetów. Zarzucano im skostnienie, hołdowanie formalistycznej i bezpłodnej scholastyce czy zbytne uzależnienie od władzy kościelnej (dotyczyło to zwłaszcza paryskiej Sorbony). Dodatkowym elementem konfliktogennym był opór uniwersytetów przeciwko naukowym nowinkom (losy teorii heliocentrycznej czy sprawa Galileusza), co spowodowało traktowanie ich jako konserwatywnych instytucji przeciwstawiających się postępowi wiedzy. Świadczą o tym kpiny ze scholastyki, których pełno w dziełach Rabelais'go, Erazma z Rotterdamu czy Ulricha von Huttena. Także protestantyzm jako reakcja na dotychczasowe chrześcijaństwo zrywał z tradycją, którą symbolizowały uniwersytety. Wprawdzie nie było bezpośredniego przełożenia sukcesu reformacji na kształt uniwersytetów, ale np. uniwersytety w Cambridge i Oxfordzie (zwłaszcza ten pierwszy) zmieniły się na lepsze w nowym kontekście religijnym. Niemalże znaczenie miał wynalazek druku, powodujący stopniowe uniezależnianie się studentów od wykładów, a w konsekwencji – kinkiecie jednego z czynników prospołnotowych. Pojawiły się uczelnie mające stanowić przeciwwagę dla tradycyjnego uniwersytetu, np. Collège de France w Paryżu, założone przez króla Franciszka I w 1530 r.

Najważniejszym bodaj czynnikiem „antyuniwersyteckim” było powstanie akademii i towarzystw naukowych. Academia del Lincei w Rzymie była pierwszą (założona w 1603 r.), potem przyszły m.in. Królewskie Towarzystwo Naukowe w Londynie (Royal Society – 1660 r.), Akademia Francuska w Paryżu (1635 r.), Pruska (Berlińsko-Brandenburska) Akademia Nauk w Berlinie (1700 r.) czy Rosyjska Akademia Nauk w Petersburgu (1725 r., co ciekawe, była ona wcześniejsza niż pierwszy uniwersytet w Rosji). Rangę tych nowych podkreśla fakt, że byli z nimi związani np. Galileusz (Accademia dei Lincei), Newton (Royal Society) czy Leibniz (Pruska Akademia Nauk). Polskie towarzystwa naukowe i akademie powstawały później z uwagi na oczywiste zaszczości polityczne. Akademie i towarzystwa miały inną strukturę niż uniwersytety, bardziej związaną z podziałem na dyscypliny, zajmowały się tylko badaniami naukowymi, a nie kształceniem i prowadziły specjalistyczną działalność naukowo-wydawniczą. Na pewne nie były wspólnotami profesorów i studentów. Nie były też jakimiś wydatnymi społecznościami uczonych z uwagi na częstotliwość spotkań na posiedzeniach, wprawdzie stałych, ale jednak organizowanych z przerwami. Tak czy inaczej, większość doniesień o osiągnię-

ciach naukowych była ogłaszana w sprawozdaniach publikowanych przez akademie i towarzystwa.

Jeszcze jednym czynnikiem powodującym kryzys średniowiecznego modelu *universitas* była postępująca specjalizacja wiedzy, zwłaszcza całkowite porzucenie struktury *artes liberales*. Wszelako uniwersytety również zaczęły się zmieniać, zapewne także pod wpływem tego, że ich profesorowie byli równocześnie członkami akademii i towarzystw. Reformy uniwersytetów zaczęły się w XVIII w. pod wpływem idei oświeceniowych, w Polsce np. zostały przeprowadzone przez Komisję Edukacji Narodowej. Szczególnie znaczenie miała reforma uniwersytetów w Niemczech. Polegała ona na dostosowaniu struktury uniwersytetów do tej znanej z funkcjonowania akademii nauk, wyraźnym określeniu drogi naukowej (doktorat, habilitacja, profesura) i wprowadzeniu zdecydowanej dominacji profesorów zwyczajnych, często dodatkowo honorowanych dworskim tytułem tajnego radcy (*Geheimrat*). Znane są liczne anegdoty o profesorach tajnych radcach, którzy ignorowali słowa „Herr Professor” i domagali się, aby zwracać się do nich per „Herr Geheimrat”. Ośrodkiem kształcenia i pracy naukowej było seminarium, prowadzone przez profesora zwyczajnego. Inni pracownicy, tj. asystenci, docenci czy profesorowie nadzwyczajni byli tylko „poddanymi” ordinariusza. To jak ich traktował zależało od jego woli i charakteru. Okoliczność ta prowadziła do licznych konfliktów tak znacznych i dotkliwych, że powstał nawet specjalny związek zawodowy dla obrony interesów tzw. *Nicht-Ordinariern*, tj. pracowników uczelnianych niebędących profesorami zwyczajnymi. Wcale nie rzadkie były przypadki utracenia przy habilitacjach z powodu osobistych zastrzeżeń takiego czy innego ordinariusza. Profesorowie zwyczajni mieli decydujący wpływ na powoływanie na katedry, a zdarzało się, że po prostu wyznaczali swego sukcesora akademickiego.

Powyższe okoliczności zmieniły charakter uniwersytetu, zwanego humboldtowskim (od nazwisk Wilhelma i Alexandra von Humboldtów, kojarzonych z omawianą reformą). Uniwersytet wedle tego modelu (wprowadzonego także w Austrii) był nadal wspólnotą, ale określoną relatywnie do poszczególnych szczebli akademickiej hierarchii, a dystans dotyczył także stosunków nauczycieli akademickich do studentów. Wzrost roli podręczników w postaci książkowej czy popularne wydawnictwa o charakterze skryptów też, jak poprzednio, przyczyniały się do rozerwania tradycyjnych więzów wspólnotowych. Model humboldtowski został w zasadzie przyjęty przez uniwersytety Polski międzywojennej i w swych zasadniczych rysach obowiązywał po II wojnie światowej, tj. w okresie PRL. I to jest kontekst współczesnej sytuacji w pol-

skim środowisku akademickim. Można oczywiście zastanawiać się, co byłoby, gdybyśmy przyjęli model brytyjski lub amerykański (znacznie bardziej elastyczny z punktu widzenia sformalizowanych relacji hierarchicznych), ale to są tylko spekulacje. Historia życia akademickiego w Polsce musiała potoczyć się tak, jak to miało miejsce, chociażby z uwagi na okoliczności powstania niepodległego państwa polskiego, scalonego z trzech różnych zaborów. Dodam, że rosyjski model uniwersytetu był również bardzo sformalizowany, a to z uwagi na różnice pomiędzy tzw. czynami, czyli rangami urzędniczymi.

To, co wydaje się szczególnie istotne dla obecnego polskiego (i nie tylko, ale będę zajmował się jedynie obserwacjami, by tak rzec, *pro domo sua*) życia akademickiego, to masowość uprawiania nauki i kształcenia na poziomie wyższym oraz nowe elektroniczne środki pozyskiwania informacji i komunikowania się. W Polsce (dane z 2011 r.) w szkołach wyższych było około 93 tys. nauczycieli akademickich i uczyło się około 1,3 miliona studentów. Współczynnik scholaryzacji wyniósł około 37% i był prawie 4-krotnie wyższy niż w 1990 r. Wprawdzie czynniki demograficzne powodują stopniowe zmniejszanie się tych parametrów, ale ciągle są to wielkości poważne, chociaż mniejsze niż np. w Niemczech lub Wielkiej Brytanii. Niektóre polskie uczelnie, np. Uniwersytet Jagielloński, są największymi pracodawcami w regionie. Na jednego profesora przypada 15-16 studentów, co może wydawać się niewielką liczbą, ale petryfikacja dydaktyki polegająca na coraz większej liczbie nauczanych przedmiotów sprawia, że wręcz trudno wyliczyć rozmiary grup studenckich kontaktujących się z jednym wykładowcą lub prowadzącym ćwiczenia.

Jakie są skutki masowości? Takie jak w innych dziedzinach w tym względzie. Zwiększa się przeciętny poziom wykształcenia czy jakości prac naukowych, zwiększają się marginesy podprzeciętności (małej jakości) i ponadprzeciętności (czyli naprawdę dobrych studentów i dobrych naukowców), ale ci najlepsi trudniej znajdują popularność i uznanie za swoje wyniki. Nie ma na to rady, przynajmniej w ramach obecnego systemu akademickiego. Te tendencje są wzmacniane oceną wydajności naukowej przy pomocy punktów przypisywanych publikacjom naukowym. Jest to prawdopodobnie nieuniknione, ale często przeradza się w tzw. punktozę, czyli swoistą chorobę o znamionach numerologii, oficjalnie zwaną bibliometrią. Jej szczególnym objawem jest opracowywanie rozmaitych algorytmów na danych pochodzących ze słabych skal pomiarowych, tj. nominalnej lub porządkującej. Z teorii pomiaru wiadomo, że rodzaj skali determinuje operacje matematyczne dopuszczalne na wynikach metrycznych. Skale bibliometryczne, co najwyżej, porządkujące, jak wcześniej

zauważyłem, są jednak podstawą dla mnożenia, dzielenia i obliczania średnich, co jest poważnym błędem metodologicznym, gdyż uprawniają jedynie do porównań. To tak, aby podać przykład celowo drastyczny, jakby uznać, że mnożenie przez siebie numerów telefonów alarmowych (trzycyfrowych) daje mniejsze liczby niż mnożenie numerów, powiedzmy, sześciocyfrowych i wyciągnięcie z tego wniosku, że im mniejszy wynik, tym łatwiej go zapamiętać i zastosować.

Jest rzeczą oczywistą, że masowość zmienia charakter więzi w środowisku akademickim i to na wszystkich liniach, mianowicie pracownicy – pracownicy, pracownicy – studenci i studenci – studenci. Jeszcze jakieś 30 lat temu funkcjonowało w Polsce wiele kół naukowych, a w ich zebraniach uczestniczyli i studenci, i nauczyciele akademicy. Teraz takie koła są coraz większą rzadkością. Znikły także tradycyjne studenckie imprezy, jak bale roku czy całego kierunku, półmetki i komersy. Starsze roczniki jeszcze organizują rocznice ukończenia studiów, młodsze już nie wiedzą, co to takiego. Wspomniana petryfikacja dydaktyki owocuje tym, że dawniej jednolite kursy są dzielone na bardziej specjalistyczne, co powoduje brak stabilności procesu nauczania, np. gdy studiowałem filozofię w latach 60. był jeden wykład z historii filozofii nowożytnej – teraz jest ich kilka. Do tego dochodzi fakt, notoryczny w obecnym polskim życiu uczelnianym, że ćwiczenia są prowadzone przez doktorantów, w większości, tylko czasowo związanych z danym miejscem pracy, co dodatkowo generuje niestabilność dydaktyczną. Zmiana obyczajowości jest także widoczna w trakcie imprez o stosunkowo niedawnej tradycji. W latach 80. pojawiły się na przykład tzw. spotkania opłatkowe. Była to nie tyle uroczystość religijna, ile próba zmanifestowania odrębności wobec tego, co oficjalne. Wedle obserwacji, nie tylko moich, albo w ogóle zaniżają albo cieszą się coraz mniejszym powodzeniem. Moi młodszy koledzy (sam jestem już emerytem) dość powszechnie twierdzą, że życie akademickie uległo daleko idącej atomizacji i indywidualizacji. Wydaje się zresztą, że w mniejszych uczelniach działania prowsólnotowe są łatwiejsze niż w dużych, co jest całkiem zrozumiałe. Niemniej jednak, kadra w tych pierwszych jest w dużej mierze dojeżdżająca, co nie sprzyja budowaniu wspólnoty.

Rejestruję tylko fakty, bez ich oceniania. Należę do pokolenia, studiującego i pracującego w zgoła innych okolicznościach, więc nic dziwnego, że odczuwam duży sentyment do tych form życia akademickiego. Niemniej jednak, jestem daleki od negatywnych ocen, gdyż rozumiem, że współczesne warunki funkcjonowania uniwersytetów stwarzają nowe wzorce. I studenci, i naukowcy bardziej uczestniczą, bo muszą, w masowych przejawach życia zbiorowego

i bardziej sobie cenią prywatne imprezy od wspólnotowych. Skłaniają też do tego rozmaite internetowe formy komunikacji. Aby podać prosty przykład – żeby zdobyć potrzebną informację, lepiej jest ją „wygooglować” niż zapytać kolegę lub profesora. Prawdziwy kontakt nauczyciela akademickiego z jego uczniem zaczyna się dopiero w przypadku doktorantów. O ile dawniej bywało się promotorem pracy magisterskiej, obecnie ta funkcja została praktycznie wyzerowana. Jeszcze raz powtarzam, takie są fakty. Czy da się je jakoś zniwelować, o ile w ogóle warto – trudno powiedzieć. Być może, należałoby przeprowadzić badania socjologiczne o charakterze porównawczym, aby przekonać się, czy tendencje obserwowane w Polsce są typowe czy tylko lokalne. To zadanie dla socjologów. Nie twierdzą też, iż nie ma tendencji prowsólnotowych. Takim czynnikiem są badania interdyscyplinarne, włączanie studentów do zespołów naukowych, studia doktoranckie, co owocuje powstaniem nowej kategorii człowieka uniwersytetu, kogoś pośredniego pomiędzy studentem a pracownikiem, konferencje naukowe, które wprawdzie nie służą danej wspólnocie uniwersyteckiej, ale za to integrują na poziomie wyższym, także narodowym lub międzynarodowym. Komunikacja elektroniczna niekoniecznie musi działać dezintegracyjnie i faktycznie łączy, a nie dzieli. Można przypuszczać, że środowiska naukowe wytworzą nowe formy wspólnotowe, podobnie jak to miało miejsce w przeszłości. Niemniej jednak, wydaje się, że tradycyjny model *universitas magistrorum et scholarium* bezpowrotnie należy do przeszłości.

Wiadomo, że naukowcy nie są aniołami. Zawód ten zawsze wiązał się z rywalizacją oraz stosunkowo dużymi ambicjami i ich realizacją. Znane są rozliczne konflikty o pierwszeństwo czy pretensje o plagiat. Kto był wcześniejszy, Newton czy Leibniz w odkryciu rachunku różniczkowego czy całkowego? Kto sformułował ideę prawa natury o zmiennej treści, Leon Petrażycki czy Rudolf Stammler? W Anglii mówią prawo Boyle’a, we Francji – prawo Mariotte’a, my jesteśmy w sytuacji komfortowej, gdyż możemy rzec – Boyle’a – Mariotte’a. Dominująca rola niemieckich ordinariusów sprawiała, że mało kto przejmował się dokonaniem naukowców o niższym statusie niż profesorowie zwyczajni. Masowość, a przede wszystkim, wzrost możliwości publikacyjnych zmienił tę sytuację. Teraz w zasadzie każdy ma naukową buławę w plecaku. To oczywiście bardzo korzystna zmiana, ale rodzi nowe problemy. Jeszcze sto lat temu, każdy specjalista w danej dziedzinie wiedział, kogo cytować z uwagi na wartość osiągnięć i kogo trzeba, aby nie narazić się na reprimendę. Dzisiaj jest to bardzo trudne, gdyż nie sposób dotrzeć do wszystkich publikacji. To rodzi, gdyż musi, niesnaski, pretensje, zazdrość,

a także tendencję do rewanżu wedle zasady retorsji „ty mnie nie cytujesz, to i ja odwzajemnam się tym samym”.

Może i nie warto by pisać o niespełnionych ambicjach z zakresu cytografii, gdyby nie nowa okoliczność. Kiedyś spotkałem kolegę po fachu, akurat po przeczytaniu jego rozprawy. Cytował, co w Polsce jest manierą, samych „zagranicznych”, ale pomiął „krajowców”. Zapytałem, dlaczego. Odparł, że nie ma interesu w cytowaniu Polaków (zwłaszcza żyjących), ponieważ, jeśli to zrobi, to jego indeks cytowań może być niższy od polskiego kolegi. To skutek wspomnianej punktozy. Może nie byłoby, o czym wspominać (tego rodzaju postawy zawsze zdarzały się w świecie nauki), gdyby nie to, że tego rodzaju rozumienie rywalizacji rozpowszechnia się wśród naszej młodzieży (to określenie należy brać *cum grano salis*) akademickiej. Ma ono oczywisty i negatywny wpływ na wspólnotowość uniwersytetów. Nauka musi opierać się na jakiejś rywalizacji, ponieważ ci, którzy ją praktykują, czują się (mniejsza o to, czy zasadnie czy nie) twórcami. Praktyka naukowa jest, bo nie może być inaczej, uregulowana nie tylko tradycją akademicką, ale także stosownymi przepisami prawnymi, np. dotyczącymi plagiatów czy innych negatywnych zjawisk w życiu akademickim. I tutaj dochodzimy do pytania, jak nowa ustawa o szkolnictwie, szumnie acz na wyrost zwana Konstytucją dla nauki, będzie wpływała na rozumienie uniwersytetu jako wspólnoty, w tym przypadku nauczycieli akademickich, ale z rykoszetami także w kierunku innych linii.

Kreślę te uwagi, gdy ustawa wchodzi w życie, a zostaną opublikowane, gdy jej skutki będą już lepiej znane. Na razie nie ma powodów do optymizmu, a wręcz przeciwnie – Ustawa 2.0 (tak zwie się potocznie) prawdopodobnie przyniesie bardzo negatywne skutki, właśnie w dziedzinie relacji międzyludzkich w społeczności akademickiej w Polsce. Oto niekompletny wykaz czynników negatywnych: absurdalne zasady ewaluacji dyscyplin, pomijanie części dorobku naukowego (cztery prace za ostatnie cztery lata), niejasności względem tego, kto i jak ma oceniać, podział dziedzin i dyscyplin, częściowo wymuszony przez kryteria wyznaniowe (teologia jako odrębna dziedzina nauki, prawo kanoniczne jako odrębna dyscyplina w naukach społecznych), nonsensy w przyporządkowaniu dyscyplin do czasopism (np. czołowe światowe pisma filozoficzne mają w swoim repertuarze przedmiotowym teologię i prawo kanoniczne), dziwaczne algorytmy obliczania punktów i tzw. kosztocłonności, napsuzona terminologia (np. Rada Doskonałości Naukowej), dyskryminacja humanistyki, przymuszanie (wprawdzie nielegalne w świetle prawa, ale tolerowane przez MNiSW) pracowników do deklarowania przynależności do dyscyplin nie wedle własnych zainteresowań i kompetencji, ale wedle potrzeb

poszczególnych uczelni w wyścigu do miana uniwersytetów badawczych i uczelni akademickich (w niektórych uczelniach z góry przygotowano formularze do podpisu z ustną informacją „możecie nie podpisać, ale...”) czy eliminowanie dydaktyki z przedmiotów nieopłacalnych dla ewaluacji, np. ogólnego kształcenia w filozofii i logice.

Poczynania wyżej wyliczone (i zapewne inne) nie mogą działać na rzecz wspólnotowości, zwłaszcza w warunkach chronicznego braku pieniędzy, sytuacji, która nie ma szans na radykalną zmianę w przewidywalnej przyszłości. Przypomnę, że zalecany w Unii Europejskiej procent PKB przeznaczony na naukę i szkolnictwo wyższe wynosi 2%, podczas gdy (wyliczenia są różne – podają wymiar uważany za zawyżony) w Polsce kształtuje się na poziomie 1%. Znaczący to, że środki budżetowe przeznaczone na potrzeby badań naukowych i kształcenia na poziomie wyższym powinny natychmiast wzrosnąć o 12 miliardów złotych. Ministerstwo zapowiada 5 miliardów, ale jest to raczej pobożne życzenie niż realna możliwość. W tej sytuacji nie dziwi propaganda, że Ustawa 2.0 to reforma inna niż wszystkie (czytaj: lepsza), ale to trzeba traktować jako ponury żart. Prawda zaś jest taka, że jeśli prawo, nawet stanowione w dobrej intencji, może przynieść złe skutki, na pewno je przyniesie, zwłaszcza jeśli nie jest poparte materialnymi środkami dla jego realizacji. Nadzieja jednak w tym, że standardowe poczucie powinności akademickich obroni się przed kryzysem. Będzie to trudne, gdyż Ustawa 2.0 będzie wymuszała działania niezgodne z etosem akademickim, w szczególności (wymieniam tylko niektóre) kombinacje (w złym sensie) w celu sukcesu ewaluacyjnego, manipulowanie pracownikami, upadek mniejszych uczelni, odchodzenie od badań interdyscyplinarnych, lekceważenie studentów w wyniku sztucznego modelowania dydaktyki i *vice versa*, bo lekceważony reaguje tym samym wobec lekceważących, wzrost bezmyślnej punktozy, dalszy odpływ naukowców z Polski czy krach planów umiędzynarodowienia nauki polskiej. Ale niech żywi nie tracą nadziei.

PS. Aby zademonstrować ignorancję ministerialnych czynowników przytoczę to, co usłyszałem w grudniu 2018 r. w trakcie uroczystości wręczenia Nagród Fundacji Nauki Polskiej, czyli tzw. polskich Nobli. Otóż fachowcy z MNiSW pomylili wydziały PAN z wydziałami uniwersytetów. Pierwsze są rzeczywiście multidyscyplinarne, np. Wydział I PAN zrzesza 18 dyscyplin i na pewno jest niejednorodny. Wszelako zupełnie inaczej jest w przypadku zdecydowanej większości wydziałów uniwersyteckich. Teraz można zrozumieć ministerialne stanowisko, że skoro wydziały są zbyt zróżnicowane, aby je oceniać jako całości, trzeba ewaluować wedle dyscyplin. Nikt jednak nie

oceniał wydziału Polskiej Akademii Nauk jako jednostki podległej ewaluacji, gdyż dotyczyła ona instytutów. Stara prawda, jeśli jakaś głupota jest możliwa do wymyślenia, biurokrata zawsze da radę to uczynić.